

REYES
MONFORTE
POCZTÓWKI
ZE
WSCHODU

Przełożyła
Joanna Ostrowska

MANDO 

NIEDZIELA

Jest niedziela. W niedzielę wszystko może się zdarzyć. Chodzi mi o to nagłe wrażenie nowości, chwilami przerażające, ale i wyczekiwane, które przygotowuje grunt pod coś nieprzewidywalnego. Coś niespodziewanego, przypadkowego, o co potknie się życie i przez co nabierze przyspieszenia.

Lubię niedzielne popołudnia. Mama wpoić mi, że historia życia zaczyna się pisać właśnie w niedzielę, kiedy jeszcze nic się nie stało, ale za chwilę się wydarzy. Czysta kartka czekająca, aż ktoś wykaligrafuje na niej słowa, zdania i myśli pozszywane grubymi i cienkimi kreskami. Do dziś zachowałam wspomnienie tamtych niedzielnych popołudni, kiedy pisałyśmy listy do krewnych i przyjaciół. Do „naszych najdroższych”, jak zwykła ich tytułować mama. Uważała, że to brzmi lepiej, „a słowa są przecież po to, żeby wszystko wydawało się ładniejsze”. Pisałyśmy nawet do nieznanym nam osób, które tkwiły w szpitalnym łóżku, w świetlicy sierocińca czy we wspólnej sypialni przytułku, złaknionych poczucia, że obchodzą kogoś na tyle, że do nich pisze. „Jeżeli ktoś kreśli do ciebie kilka słów, to znaczy, że wie o twoim istnieniu, a to sprawia, że czujesz się kochany”, tłumaczyła mi mama tonem eksperta. Miało to swoją logikę, ale byłam wówczas za mała, żeby to zrozumieć.

– Myślisz, mam, że przeczytają nasze listy? – pytałam z niepewnością typową dla dziecka, które na niczym się nie zna, bo jeszcze niczego nie przeżyło. – Kto przeczyta list od nieznanego?

– Każdy, kto taki dostanie. Nie ma nic smutniejszego od nieprzeczytanych listów. A ludzie nie chcą być smutni, Bello.

Początkowo jedynie rysowałam kolorowe zwierzątka i kwiatki na dole każdej kartki, którą mama zamalowywała swoim idealnym pismem. Bo moja mama nie pisała – moja mama malowała słowa. Do dziś nie widziałam piękniejszej i doskonalszej kaligrafii. Zatraskanym tonem, który uwiarygodnia wszelkie stwierdzenia wychodzące z ust matki, mówiła, że każda historia, podobnie jak każdy człowiek, zasługuje na właściwe opowiedzenie, dlatego każdej opowieści należy się właściwe pismo. „Słowa nas zdradzają”, powtarzała mi często. Była stworzona do tego, by przenosić historie na papier, jej pismo potrafiło zamienić najsmutniejsze świadectwo w najbardziej budujące. Pamiętam, jak z dumą nosiłam szkolny mundurek z wyhaftowanym imieniem: na tle materiału wyróżniało się pięć liter wyszytych prześlicznym pismem. Podziw koleżanek z klasy mile łechtał moją próżność: przesuwwały opuszkami palców po wykaligrafowanych nitkach, jakby to było pismo Braille’a.

Kiedy mama pisała *Bella*, moje imię stawało się najpiękniejszym słowem świata. Miałam wrażenie, że każda nakreślona jej ręką litera ma w sobie coś, co odróżnia ją od innych, czyni wyjątkową.

Gdybym mogła wypowiedzieć jedno życzenie i miała gwarancję, że się spełni, chciałabym móc przekazać swojej

córcie to przekonanie o wyjątkowości niedziel, które wpoila mi matka. Wkrótce miałam się dowiedzieć, czy będę miała taką możliwość.

Uśmiechnęłam się i wzięłam głęboki oddech, jakbym musiała dotlenić to pragnienie. Spojrzałam na zegarek. Każdy, kto zobaczyłby go na moim nadgarstku, pomyślałby, że to nie najlepsze miejsce na ten staromodny czasomierz z żółtego złota, typowo męski, z tarczą w kolorze wanilii (podejrzewam, że swego czasu była biała) i dziwnie rozłożonymi cyframi: dostojne dwunastka i szóstka godziły się na towarzystwo aroganckich dwójki, czwórki, ósemki i dziesiątki, umieszczonych we właściwych miejscach, ale byle jak, bezładnie, niczym kostki do gry wyrzucone z kubka na stolik, zdane na los. Był to baume & mercier z dwoma mikroskopijnymi chronografami po bokach tarczy, coś w rodzaju rodzinnej relikwii, o której niewiele wiedziałam poza tym, że zegarek należał do mojego dziadka Andrégo i że odziedziczyła go po nim moja mama.

Nie poznałam dziadków ze strony matki, nie widziałam ich nawet na jednej z tych czarno-białych fotografii dokumentujących upływ czasu, które zwykle trzyma się za plastikowymi osłonkami albumu, w puszcze po duńskich ciasteczkach albo w ramce stojącej na komodzie w salonie. Poznałam natomiast rodziców ojca – odznaczyli się tak zwaną angielską flegmą, którą mama respektowała, ale której nigdy nie była w stanie zrozumieć. Zresztą niespecjalnie się tym przejmowała; obchodziło ją to tyle co mnie wielkość zegarka po dziadku. Był ogromny, a mój

nadgarstek – mały. Trzeba nauczyć się znosić swoje towarzystwo, żeby móc razem żyć. Kolejna sentencja mojej matki. Zegarek był na mnie o wiele za duży, sądząc po tym, jak tańczył na przegubie mojej dłoni, ale go lubiłam. Jego zwyczajność zdawała się wskazywać na brak zainteresowania czasem ze strony tego, kto miał go na ręce. Nie mówiąc o tym, że przez całe życie nosiła go mama i że z jej nadgarstka przeszedł bezpośrednio na mój.

Pozłacane wskazówki pokazywały południe. To dobra pora, żeby sprawdzić, czy po prawie ośmiu latach bezowocnych prób wreszcie spełni się nasze pragnienie zostania rodzicami. Wyjęłam z pudełeczka test ciążowy, chociaż nie ufałam zbyt tym wynalazkom. Jakiś czas temu pojawiły się na rynku i obiecywały rewolucję w życiu kobiet. Miałam prawie trzydzieści pięć lat i zdaniem niektórych było już dla mnie za późno na dziecko. Nie obchodzi mnie cudze opinie – kolejna lekcja, którą odebrałam od mamy – ale żeby nie psuć sobie humoru, wolałam uniknąć wizyty u lekarza w celu potwierdzenia albo wykluczenia ciąży.

Rozpoczęłam rytuał. Umiejętność czekania to jedna z moich mocnych stron. Cierpliwość zawsze mi się opłacała i chciałam, żeby tak pozostało. Lubiałam, kiedy ta narzucona czasowi zwłoka miała jakiś szczególny zapach; łatwiej było ją później odtworzyć. Wlałam gorącą wodę do cylindrycznego zaparzacza, do którego wcześniej wsyłałam kilka łyżeczek kawy i szczyptę mielonego cynamonu do smaku. Przytknęłam nos, żeby aromat tej mieszanki podniósł mnie na duchu. Musiałam odczekać przepisowe

cztery minuty, zanim docisnę tłok. W tym czasie wyjrzałam przez okno kuchni.

Kilka białych chmur poprzecinanych wyzywającymi szarymi żyłkami snuło się po błękitnym niebie, zagrażając błyszczącemu słońcu pierwszego tygodnia kwietnia. Zbliżały się moje urodziny; jeszcze kilka dni i bezpowrotnie dopadnie mnie trzydziestka piątka. Nieśmiało uchyliłam okno. Pachniało nadciągającym deszczem, ziemią, która już wyczuła wodę, ale musi jeszcze na nią poczekać. Niedziele są wprost stworzone do czekania. Uwielbiam deszcz, natomiast moja mama go nie znosiła. Kiedy pada, wszystko wydaje się inne, wszystko inaczej pachnie. Tuż przed ulewą powietrze staje się świeższe, a umysł orzeźwiony. Zanim zamknęłam okno, rozejrzałam się na lewo i prawo: Mia się spóźniała, co było do niej niepodobne. Ciotka mogła przemierzyć świat, oblecieć jego cztery strony, przeskoczyć z jednej półkuli na drugą, a mimo to zawsze zjawiała się o ustalonej godzinie. Dzięki tej punktualności i szybkości, z jaką się przemieszczała, zyskała wśród bliższych przydomek Człowiek Concorde. Cztery lata temu, w 1976 roku, naddźwiękowy samolot o tej nazwie, dzieło francusko-brytyjskiej inżynierii, zainaugurował połączenia komercyjne. „Punktualność daje pewność i kontrolę nad sytuacją. Dzięki temu masz przewagę nad przeciwnikiem”, mówiła z niezachwianym przekonaniem. Zawsze dziwiło mnie, że renomowana lekarka ratująca ludziom życie używa takich wojennych sformułowań. Darzyłam ją uwielbieniem, które jeszcze wzrosło, kiedy dwa miesiące wcześniej zmarła moja matka.

Zabrał ją gwałtownie postępujący alzheimer. Jej śmierć była tak bardzo niszczycielska, że zachwiała światem Mii i odebrała jej kontrolę, którą ciotka chciała nad nim sprawować. Alzheimer. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa, nie wiedziałam, że określa chorobę, którą my zawsze nazywaliśmy „zanikami pamięci typowymi dla starszej demencji”. Wiedza medyczna Mii pozwoliła nam odkryć jej istnienie i nazwę: od nazwiska niemieckiego lekarza, który rozpoznał pierwszy przypadek. „Alzheimer” nie jest ładnym słowem. Nie podobałoby się mamie, nawet gdyby nie cierpiała na tę chorobę. Nie brzmi dobrze.

Minęło jeszcze kilka minut, zanim usłyszałam silnik samochodu. W całym domu czuć już było zapach kawy, który tak lubiła mama, chociaż przez całe życie nie wypija ani jednej filiżanki. „Chcę ją po prostu wachać. Więcej mi nie potrzeba”, mówiła. Wolała herbatę z mlekiem.

Za nieco ponad dwie godziny mieli wrócić León i tata. Zaczynali każdą niedzielę od gry w golfa, by zacieśnić więź zięcia z teściem. Zanosił się na radosną niedzielę. Kolejną, chociaż nadal dokuczał nam brak Elli.

– Prawie pół godziny spóźnienia. Ktoś tu porzuca swoje zasady – stwierdziłam z przekąsem, pewna, że Mia nie weźmie mi za złe tej niewinnej prowokacji. – Spóźniasz się i przez to tracisz kontrolę. Kawy? – zapytałam. Nawet nie spojrzałam na ciotkę: wiedziałam, jaka będzie jej odpowiedź.

Wyobraziłam sobie jej uśmiech. Byłam przekonana, że na poczekaniu wymyśli jakąś wymówkę usprawiedliwiającą

spóźnienie. Odwróciłam się, kiedy odpowiedziało mi milczenie. Mia stała jakieś półtora metra od drzwi. Nie zdjęła płaszcza ani nie odwiesiła torebki na wieszak przy wejściu, gdzie zwykle ją zostawiała. Zachowywała się jak gość, który czeka, aż zaproszą go do środka.

– Co się dzieje? Nie wejdiesz?

– Nic, nic się nie dzieje. Nie zawsze musi się coś dziać – powiedziała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej mowa ciała nie wróży niczego dobrego. – Chcę ci coś pokazać. Dała mi to dla ciebie Ella. Chodź, podejdź. Musisz to zobaczyć.

Wzmianka o mamie oraz fakt, że jej jedyna siostra spoglądała na mnie, niemal nie mrugając, sprawiły, że zapomniałam o kawie, o teście i o wszystkim, co do tego dziwnego momentu chodziło mi po głowie. Odruchowo zjechałam wzrokiem z twarzy Mii na jej dłonie: trzymała w nich brązowe pudełko, szerokie na jakieś dwadzieścia pięć centymetrów, długie na dwadzieścia i wysokie na niewiele ponad dziesięć. Byłam dobra w rachunkach – tym także różniłam się od Elli z jej spuszczną słów. Skoro to był prezent od matki, nie rozumiałam, dlaczego sama mi go nie dała. Nie miała niczego, o czym bym nie wiedziała. Ciotka jak zwykle wydawała się pewna siebie, ale w jej postawie było coś sztucznego. Człowiek Concorde jakby zastygł na niebie, a dokładniej: w moim przedpokoju.

– Mio, zaczynam się niepokoić.

– Niepotrzebnie. Masz tylko pójść do salonu i usiąść. I jak zwykle zachować otwarty umysł. Wiesz co? Chyba

napiję się tej kawy, którą mi przed chwilą proponowałaś – dodała, a ja pomyślałam, że może czarny napar pachnący cynamonem pomoże jej przełknąć to, co najwyraźniej tkwiło jej w gardle.

Posłuchałam, próbując zachować spokój. Podałam jej filiżankę, ale zapomniałam o dwóch kostkach cukru, które zawsze wrzucała do kawy. Usiadłam na jednym z krzesel otaczających stół, na którym ciotka postawiła pudełko. Nadal była w płaszczu, na jej ramieniu wciąż wisiała torebka. Nie wiem, dlaczego zwróciłam uwagę na ten szczegół, zamiast skoncentrować się na tym, co stało na blacie.

– Nie przejmuj się moim płaszczem. Skup się na tym – przykazała, wskazując wzrokiem pudełko. Upiła łyżeczk kawy. Było oczywiste, że jej nie smakuje, nie mogła jej nawet przełknąć – nie wiem, czy dlatego, że napój był zbyt gorzki, czy z powodu tego, co miała powiedzieć. – Przed śmiercią... – Urwała; zrozumiałam, że tak naprawdę chodziło jej o moment, kiedy mamie zaczęła umierać pamięć, jeszcze zanim zrobiło to ciało. – Ella poprosiła, żebym ci to dała. Kazała mi obiecać, że zaczekam, aż odejdziesz.

Nie zdziwiła się, że po tych słowach zmarszczyłam czoło, pewnie dlatego, że sama zareagowała podobnie na prośbę siostry.

– Chcę, żebyś dała sobie czas. To coś, o czym od lat wszyscy wiemy, praktycznie od chwili, kiedy się wydarzyło. Ale wszystko następuje, kiedy powinno nastąpić, ani wcześniej, ani później.

– Co mam przez to rozumieć? – zapytałam, lekko skonfundowana. Ciotka nigdy nie wyrażała się w taki sposób.

– Tak naprawdę nie wiem. To właśnie powiedziała mi twoja mama, tak dokładnie brzmiały jej słowa: „Wszystko następuje, kiedy powinno nastąpić, ani wcześniej, ani później”. Ja też tego nie rozumiałam. Myślałam, że może ty...

– Zaczynam się bać – przyznałam, nie spuszczać z niej wzroku. Staralam się nie patrzeć na pudełko, czułam, że mi zagraża.

– Nie masz powodu. Nikt nie może cię skrzywdzić. Już nie.

Im bardziej Mia przedłużała swój wstęp, tym mocniej zaciskał mi się żołądek. Ponieważ siedziałam jak sparaliżowana, sama otworzyła pudełko i wyjęła z niego okrągłą puszkę nadgryzioną zębem czasu; mimo rdzy pokrywka nadal trzymała się metalowego korpusu. Była to puszka po skondensowanym mleku, przynajmniej tak głosiła etykieta. Na resztkę oklejającego ją białego papieru zachowały się duże niebieskie litery ułożone w napis *Lion Brand* w górnej części i *Condensed Milk* w dolnej. Dwa stojące lwy podtrzymywały coś w rodzaju czerwonej tarczy z napisem *Quality First*, zwieńczonej koroną. Podniosłam pokrywkę. W puszcze coś było. Przez chwilę w milczeniu przyglądałam się jej zawartości. Niczego nie rozumiałam. Uprzedziła mnie dłoń Mii: wyciągnęła ze środka skórzany woreczek luźno zawiązany sznurkiem, w którym dostrzegłam plik papierów.

– To pocztówki, które pisała twoja mama, kiedy była na Wschodzie.

Im więcej ciotka ujawniała informacji, tym mniej z tego rozumiałam. Mama na Wschodzie? Kiedy mama była

na Wschodzie? Gdzie dokładnie i co tam robiła? A przede wszystkim: dlaczego ciocia wypowiedziała słowo „Wschód”, rozdzielając głoski?

Na twarzy Mii pojawił się melancholijny uśmiech.

– Tak je nazywała: pocztówki ze Wschodu. Chciała, żebyś je miała, i oczywiście żebyś je przeczytała. I żebyś zrobiła to we właściwym czasie. Ten czas właśnie nadszedł.

– Co to ma być? – zapytałam, tym razem bardziej wystraszona niż zaintrygowana.

Moje zeszytwniałe palce – nie za bardzo wiem, czy zdrętwiały mi ze strachu, czy po prostu były ostrożne – wyjmowały fotografie nieznanych osób, portrety rodzinne przedstawiające mężczyzn, kobiety, dzieci i noworodki, istne retabulum twarzy, których nigdy nie widziałam. Były tam też czarno-białe pocztówki i fragmenty partytur. Nie widziałam między nimi żadnego związku, przez co całe to niespodziewane znalezisko wydawało się pozbawione sensu. Dopiero po kilku sekundach odnalazłam go po drugiej stronie pocztówek, na odwrocie fotografii, z tyłu partytur. Widniały na nich znajome litery. Pismo mojej mamy, to, które tyle razy czytałam, które podziwiałam i chwaliłam, z powodu którego rozpierała mnie duma, które było w stanie uczynić pięknym coś brzydkiego, które dodawało wzniosłości mojemu imieniu. Nie wiedziałam tylko, jak się tu znalazło. Nie zrozumiałam też znaczenia zdania zapisanego na skrawku bursztynowego papieru pobruźdzonego zmarszczkami czasu:

Ta sama pora, ten sam dzień, to samo miejsce.

Jedyne, które nie wyszło spod ręki mojej matki.

Spojrzałam na Mię, oczekując wyjaśnień.

– Daj sobie tyle czasu, ile będzie trzeba. Nie spiesz się. León i twój ojciec nie wrócą na obiad. Ja zaczekam na zewnątrz na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała, chociaż wiem, że nie będziesz.

Wstała z krzesła i zostawiła mnie samą. Zawartość puszek czekała rozłożona na stole, aż ją zbadam. Przed wyjściem Mia pocałowała mnie w czoło, jak robiła moja mama, przerywając ciężką ciszę, która trwała czasem kilka minut, a czasem kilka godzin. Nigdy nie lubiłam pocałunków w czoło; moim zdaniem nie są wcale takie czułe, jak sądzi większość ludzi.

W spojrzeniu Mii kręciła się karuzela uczuć; żadne z nich nie wydało mi się uspokajające.

Tamtego niedzielnego popołudnia dowiedziałam się, że życie potyka się o niektóre spojrzenia. A także o niektóre wspomnienia kryjące odpowiedzi na pytania, których istnienia nawet nie podejrzewamy.

Domyśliłam się, że wiele wspomnień o mamie – zbiór drobnych szczegółów, które uważałam za nieistotne – teraz nabierze dla mnie sensu. Miałam zrozumieć, dlaczego nie lubiła syren, dużych buciorów, budynków z czerwonej cegły, szczekających psów, warczących silników ciężarówek, błota ani białych rękawiczek, dlaczego budziła się o północy wystraszona czyimiś głośnymi krokami, dlaczego panikowała, kiedy ktoś obok tracił przytomność, i dlaczego jej puls przyspieszał do ponad dwustu, kiedy słyszała dzwonek roweru. Były powody, dla których drżała

na dźwięk uwertury Franza von Suppé, *Tańca węgierskiego nr 5* Johannes Brahmsa, *Marzenia* Roberta Schumanna i arii z *Madame Butterfly* Giacomina Pucciniego. Miałam odkryć, dlaczego nienawidziła zapachu róż, dymu, smoły, syntetycznego kauczuku, benzyny i niemieckiego tytoniu, dlaczego nie znosiła spacerować w deszczu, dlaczego nigdy nie pozwoliła mi pojechać na obóz letni do lasu, dlaczego nie lubiła czarnych wysokich butów ze skóry wypucowanych na błysk, dywanów z wilczej skóry, tłustego mydła, ołówków z czerwonym grafitem i niebieskiego atramentu marki Pelikan, dlaczego nie przepadała za dżemem, makiem, zupą, konserwami i czterolistną koniczyną. Miałam się dowiedzieć, dlaczego narzekała na ból kręgosłupa, który zdawał się istnieć wyłącznie w jej głowie, i odkryć przyczynę zaburzeń równowagi, na które cierpiała przez całe życie. Odpowiedzi miały rozlać się przede mną niczym nieujarzmiona rzeka, która zaraz przerwie utrzymującą ją w ryzach tamę. Za chwilę miałam zrozumieć, dlaczego moja mama zapisywała na odwrocie fotografii imiona, daty i hasła, które rozumiała tylko ona, dlaczego, kiedy chciała uspokoić swoje ciało i duszę, wypijała szklankę mleka, chociaż przez całe dzieciństwo go nie cierpiała, dlaczego potrafiła godzinami gładzić zieloną okładkę starego wydania *Fausta* Goethego, które zajmowało honorowe miejsce w domowej biblioteczce, i dlaczego kompulsywnie kupowała staniki, z których większości ani razu nie włożyła.

Przed wszystkim jednak miałam wreszcie odkryć, dlaczego Ella tak bardzo lubiła niedzielne popołudnia.

Nie wiem, czy instynkt jest dziedziczny. Zawsze słyszałam, że Żydzi instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo. Mogę jedynie powiedzieć, że ja wyczułam je, kiedy tylko zaczęłam czytać pocztówki ze Wschodu.

37 LAT WCZEŚNIEJ

Grudzień 1943
Obóz zagłady Auschwitz
Polska okupowana przez nazistowskie Niemcy

Każdy, kto kiedykolwiek zbudował jakieś „nowe niebo”, znajdował moc do tego dopiero we własnym piekle*.

Friedrich Nietzsche, *Z genealogii moralności*

* F. Nietzsche, *Z genealogii moralności*, przeł. L. Staff, Zielona Sowa, Kraków 2006, s. 89.

1

Ella obracała w palcach pocztówkę. Dwadzieścia pięć słów, w tym nazwisko i adres odbiorcy. Nie pozwalali na więcej. „Piszcie, że macie się dobrze. Nie przekazujcie żadnych informacji o obozie. I adresujcie pocztówki z Waldsee”. Takie były rozkazy SS. Blokowi i kapo – więźniowie nadzorujący baraki i komanda, którym esesmani dali pewną władzę nad resztą – powtarzali te instrukcje deportowanym wytypowanym do napisania kartki.

Co można przekazać w dwudziestu pięciu słowach? Od czego zacząć, kiedy po spełnieniu wytycznych zostało ich zaledwie dziesięć? To uczucie nie było dla Elli nowością: już wcześniej doświadczyła tego rodzaju rozterek.

Pierwszą pocztówkę do nieznanego adresata napisała w wagonie pociągu, który wiozł ją z obozu przejściowego w Drancy, oddalonego zaledwie piętnaście kilometrów od Paryża, do Auschwitz w Polsce okupowanej przez nazistowskie Niemcy. Stojąca obok niej dziewczyna ledwo trzymała się na nogach, próbowała przycupnąć w kącie na kupce słomy, która w ciągu trwającej cztery dni podróży służyła deportowanym za latrynę. Gestapo zatrzymało ją w Breście, kiedy jak co ranka szła po gazetę dla ojca. Oskarżono ją o przynależność do francuskiego ruchu oporu. Na próżno tłumaczyła przesłuchującym, że nie rozprowadza

w swoim mieście podziemnej prasy ani nie jest kurierką przekazującą tajne komunikaty, że nigdy nie brała udziału w ratowaniu angielskich lotników zrzuconych u wybrzeży Francji, nie pomagała im pozbyć się mundurów i nie ułatwiała ucieczki, dostarczając cywilne stroje, a tym bardziej nie wie nic o żadnym alianckim okręcie podwodnym, który zmierzałby w stronę Anglii.

Podczas przesłuchania poddano ją okrutnym torturom. Najpierw wbijano jej igły pod paznokcie, potem zmiżdżono dłonie młotkiem. Oprawcy wiedzieli, że trzy razy w tygodniu chodzi na lekcje pianina, i wykorzystali tę informację. Połamane palce uniemożliwiały jej pisanie. Tymczasem w ubraniu miała ukrytą pocztówkę, którą zamierzała wyrzucić przez szparę w ścianie wagonu, zanim przekroczy francuską granicę. Łudziła się, że ktoś znajdzie kartkę i zaryzykuje wysłanie jej pod wskazany adres.

– Napisz ją za mnie – poprosiła Ellę.

Później Ella dowiedziała się, że dziewczyna ma na imię Odette, że tamtego dnia skończyła szesnaście lat i że przed wojną marzyła, by zostać światowej sławy pianistką. Ale w tamtym momencie nie zadała żadnego pytania, ograniczyła się do zapisania tego, co dyktowała jej nastolatka przedwcześnie doświadczona przez los. To właśnie wtedy jej własne pismo po raz pierwszy wydało jej się dziwne, podrobione, jakby należało do kogoś innego.

*Droga Rodzino. Bardzo Was Kocham. Dziękuję
za Waszą opiekę i miłość.*

*To zapewne ostatni list, jaki ode mnie dostaniecie.
Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek Was zobaczę.
Proszę, pamiętajcie o mnie.*

Ella już nigdy nie spotkała Odette, ani w obozie, ani w lesie, ani w latrynie, ani na apelu, ani podczas dezynfekcji, ani na łące, ani przy drutach kolczastych, ani w fabryce, ani nawet w szpitalu; nie było jej w żadnym z baraków. Kiedy wyrzuciła pocztówkę z pociągu, twarz Odette wreszcie się rozpozodziła, jakby dziewczyna zrzuciła z siebie wielki ciężar i odzyskała spokój.

Tamtego dnia Ella po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jakich słów by użyła, gdyby to ona miała wysłać ostatni list do ukochanej osoby. Poczowała ulgę, że nie musi się tym martwić: rodzice podróżowali w sąsiednim wagonie, a jej narzeczony Jóska był przy niej. Nie miała do kogo wysłać listu. Nie chciała pisać do swojej siostry Mii, żeby jej nie narażać, chociaż Szwajcaria – dokąd Mia zdołała uciec dzięki pomocy przyjaciół rodziny – wydawała się bezpiecznym miejscem. Poza tym zanim wywieźli ich do obozu w Drancy, ojciec przekazał już drugiej córce wszystko, co musiała wiedzieć: „Ratuj się. Wyjedź. Zniknij. Nie pozwól, żeby cię znaleźli. Jeżeli będzie trzeba, kłam, przeżyj, nieważne jak. Wypryj się wszystkich i wszystkiego”. Ta ostatnia rada dotyczyła całej rodziny.

Ale teraz, w Auschwitz, sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Nie miała nic wspólnego z Odette i z jej pocztówką. Teraz to Ella była nadawczynią, to było jej dwadzieścia pięć słów.

Wiedziała, że od słów wszystko się zaczyna – to, co dobre, i to, co złe. Zwykła litera nabierała znaczenia wykraczającego poza graficzny symbol.

Kiedy zobaczyła odwróconą do góry nogami literę „B” w słowie *ARBEIT* będącym częścią żelaznego napisu umieszczonego nad bramą obozu – *ARBEIT MACHT FREI* – zrozumiała, że jej życie stanie na głowie, a ona nie będzie w stanie temu zapobiec. Później inne kobiety zdradziły jej, że ta przekręcona litera to nie błąd, ale wyraz buntu pierwszych polskich więźniów przybyłych do obozu w czerwcu 1940 roku, których zmuszono do przyspawania napisu. Wycisnęli tam swoje piętno i któregoś dnia świat to zrozumie.

Od kilku tygodni Ella robiła to samo co oni, ale nikt o tym nie wiedział. Jeżeli chciała przeżyć, musiała zachować sekret.

Szara chropowata tektura, która parzyła jej dłonie, mogłaby ją zabić, gdyby pozostała pusta. Dwadzieścia minut wcześniej Ella dostała ją od groźnej, wszechmocnej Oberaufseherin Marii Mandel, kierowniczkii obozu dla kobiet. „Napisz list do rodziny. Ja go wyślę”. Najbardziej wpływowa, okrutna i krwawa kobieta nazistowskiej maszyny zagłady wydała jej rozkaz – jeżeli Ella chciała przeżyć w Auschwitz, musiała go wykonać, choć i to nie dawało żadnych gwarancji.

Bała się swojego pisma, swoich dwudziestu pięciu słów, zwłaszcza tych, które miały złożyć się na nazwisko i adres odbiorcy. Poczłówek były zatrutym podarkiem, jak zresztą wszystko, co pochodziło od esesmanów. Przyświecały

im trzy utajone cele: wykrywanie miejsc pobytu Żydów, którzy nie zostali dotąd zatrzymani i deportowani do obozów zagłady tworzonych przez Trzecią Rzeszę; oszukiwanie mieszkańców gett, których uspokajały pocztówki od bliskich informujących, że pracują w Niemczech i cieszą się dobrym zdrowiem; oraz zachęcanie krewnych, by wysyłali do obozu paczki z żywnością, pieniędzmi i wartościowymi przedmiotami, które trafiały prosto do rąk – albo do kieszeni – funkcjonariuszy SS. Kłamstwa ze stemplem pocztowym, oto czym były te pocztówki.

„Nazwisko i adres odbiorcy”, powtarzała Ella w myślach. Nazwisko i adres odbiorcy. Spuściła wzrok, by spojrzeć na kartkę, ale zatrzymała go na swoich dłoniach. W Auschwitz w niedzielę oglądało się dłonie, bo stopy były już za bardzo zniszczone od chodzenia w nieodpowiednich butach. Pomyślała o Odette, o jej zmiażdżonych palcach, o pocztówce do jej rodziców wyrzuconej z bydłowego wagonu. W tym momencie wpadła na pewien pomysł. Może to było dobre rozwiązanie. Pamiętała dokładnie tamten adres. Mogła go wykorzystać. Jeżeli pocztówka Odette dotarła do jej rodziców, byli już na celowniku nazistów, o ile nie zostali zatrzymani i deportowani. Kolejna kartka nie zmieniłaby ich losów... Ale istniała także możliwość, że nikt nie znalazł tamtego kawałka papieru, że nie został wysłany i że Ella skazałaby na śmierć dwie osoby, które najprawdopodobniej straciły już córkę.

Pomyślała o rodzicach Jóski, o ich dawnym węgierskim adresie. Uciekli do Kanady przez Anglię, kiedy tylko po Europie zaczęły krążyć opowieści o tym, co dzieje się z Żydami,

pogłoski, którym większość nie dawała wiary. Ojciec Elli także postanowił zbiec do innego kraju, a nawet na inny kontynent, gdy 16 i 17 lipca 1942 roku doszło w Paryżu do wielkiej oblawy, w czasie której dziewięć tysięcy francuskich żandarmów zatrzymało ponad trzynaście tysięcy Żydów. Przez kilka dni byli przetrzymywani na Vélodrome d’Hiver, zimowym welodromie, w ekstremalnych warunkach, bez wody, jedzenia i dachu nad głową, a następnie zostali rozesłani do obozów koncentracyjnych utworzonych przez nazistów na wschodzie Europy. Ojciec Elli opowiadał, że żandarmi wyciągali jego przyjaciół z domów i zakładów pracy albo zatrzymywali ich na środku ulicy, „bez zbędnych wyjaśnień i komentarzy”, wedle rozkazu władz francuskiej policji. Rząd Vichy ugiął się przed nazistowskim reżimem, przyjmując wytyczne Sekcji IVB4 Gestapo pod dowództwem SS-Obersturmbannführera Adolfa Eichmanna.

Od 1 grudnia 1939 roku Żydzi powyżej dziesiątego roku życia mieszkający na terenach Generalnego Gubernatorstwa – ziemiach polskich okupowanych przez nazistowskie Niemcy – byli obowiązani nosić na prawym rękawie białe opaski z niebieską sześcioramienną gwiazdą. Za niezastosowanie się do rozporządzenia groziły surowe kary. Szwajcaria wydawała się wówczas dobrym schronieniem. Innym rozwiązaniem był Nowy Jork: ojciec Elli miał tam kilku kolegów lekarzy, którzy mogli ułatwić im wyjazd do Ameryki. Jednak choroba jej matki uniemożliwiła rodzinie opuszczenie Paryża.

Pamiętała nazwę ulicy i numer domu, w którym mieszkali rodzice Jóska. Był to jakiś pomysł, nikomu by nie

zaszkodziła. Sięgnęła po ołówek kopiowy z niebieskim grafitem leżący na długim stole ciągnącym się wzdłuż ściany tak zwanego bloku muzycznego, przy którym kopistki – *Schreiberinnen* – codziennie kaligrafowały nuty dla orkiestry. Nie była do końca przekonana do tego rozwiązania, ale wahanie i bezczynność pociągały za sobą większe ryzyko. Kiedy grafit już niemal dotykał papieru, coś sprawiło, że jej dłoń przesunęła się po pocztówce, zostawiając niebieską kreskę. Niejedna kopistka została ukarana za mniejsze przewinienie: pobita, zmuszona do mycia na kolanach podłogi baraku czy na kilka dni pozbawiona jedzenia i wody.

– Ja bym się jeszcze zastanowiła. – To ten głos tak wystraszył Ellę, kiedy pogrążona w myślach próbowała rozwiązać dwudziestopięciowyrazową łamigłówkę.

Towarzystwo polskiej więźniarki, jednej z weteranek Birkenau, zawsze budziło w niej niepokój.

Alicja przyjechała z obozu Ravensbrück, podobnie jak Maria Mandel, którą przeniesiono do Auschwitz pięć miesięcy wcześniej, 7 października 1942 roku. Kiedy wszechpotężna kierowniczka zobaczyła Polkę na apelu, zdziwiła się, że ta jeszcze żyje. „Nie wypełniasz swoich obowiązków więźniarki” – powiedziała. „Powinnaś była umrzeć pięć miesięcy temu. Będę musiała cię za to ukarać”. Tak też zrobiła. Znały się bardzo dobrze. W Ravensbrück Alicja była maskotką Marii. W Birkenau stała się zwykłym *Muselman*, jak nazywano umierających więźniów, którzy chodzili po obozie przygarbieni, niemal pełzając po ziemi.

Ella poznała znaczenie tego słowa niedługo po przyjeździe. „Dlaczego muzułmanie?”, zapytała. „Nie widziałas

modlącego się muzułmanina? Pochylają się i garbią”, wyjaśniła jej jedna z więźniarek. „SS ich nie lubią, *Muselmann* kiepsko się pali. Nie ma tłuszczu”.

– Nieważne, co napiszesz – powiedziała Alicja, wskazując brodą pocztówkę. – I tak cię zabije. W Ravensbrück widziałam, jak zakatowała na śmierć jedną dziewczynę za napisanie wiersza na dziesięciozłotowym banknocie. Biedaczka. Fela, tak jej było na imię. Miała ogromne niebieskie oczy, podobne do twoich, zawsze były otwarte, przez cały czas, nawet kiedy spała. Miała strach wypisany na twarzy, a oni tego nie lubią. Fela, piękna Fela. Ta nieszczęśnica w kółko powtarzała, że jej imię znaczy „szczęściara”. Mandel posłała ją do bunkra. Kazała jej się przewiesić przez przytwierdzony do podłogi stołek, przywiązała ją i zaczęła chłostać. Ulubiona kara esesmanów: *Fünf-und-zwanzig*, dwadzieścia pięć batów. Fela musiała sama liczyć je na głos. Biedaczka nie dotrwała nawet do piątego, ale Mandel zawsze czekała, aż odzyska przytomność, żeby dalej ją chłostać. Później rozbierała ją do naga, wypędzała z baraku, polewała lodowatą wodą, dopóki dziewczyna nie skostniała z zimna, po czym wracały do celi i zaczynało się od nowa. Dzień w dzień. Krzyki docierały z piwnicy aż na zewnątrz. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak krzyczał, to nie były ludzkie odgłosy. Wiesz, że podczas bicia krzyk łagodzi ból?

Alicja zamilkła. Jej spojrzenie zatoneło w nieodległej przeszłości. Odtwarzała w myślach rozkład położonego niespełna sto kilometrów na północ od Berlina kompleksu. Osiemnaście baraków, z których dwanaście przeznaczono dla więźniarek, przed powstaniem Birkenau największy

obóz koncentracyjny dla kobiet, czterokrotnie rozbudowywany. Miejsce, które Maria Mandel zamieniła w szkołę tortur i zabijania dla tysięcy przyszłych strażniczek. Ulubionymi miejscami okrutnej nadzorky z Ravensbrück były piwniczna celda, którą ochrzciła mianem *Prügelraum*, sali chłosty, i *Erschiessungsgang*, wąska alejka w centralnej części kompleksu, niedaleko krematorium, gdzie dokonywano większości egzekucji. Wszystko to odbijało się w spojrzeniu Alicji, kiedy opowiadała historię Feli.

– I tak codziennie, aż któregoś razu zobaczyłam, jak wywożą ją martwą na taczkach, zmasakrowane ciało, bezkształtną masę oblepioną błotem, krwią i jakąś żółtą cieczą. Nie mam pojęcia, co to mogło być. – Alicja przerwała i przytknęła zapalnik do papierosa, którego trzymała w palcach. Musiała go zdobyć nielegalnie, prawdopodobnie w zamian za porcję zupy albo kromkę chleba. Muzułmanie często tak robili. Wiedzieli, że nie zostało im wiele czasu, i woleli palić niż jeść, być może licząc na to, że dzięki temu szybciej zakończą życie, które i tak już do nich nie należało. – Pewnie Bestii nie przypadł do gustu wiersz. Albo charakter pisma... Twój za to jej się podoba, i to bardzo – powiedziała, wypuszczając dym przez zęby.

– Nie powinnaś palić. Tym bardziej tutaj. Jeżeli cię nakryją... – skarciła ją Ella, pomijając milczeniem jej słowa. Bała się, że w każdej chwili może pojawić się któraś z nadzorczyń, kapo albo blokowych, wykrzykując swoje: *Ab! In den Block!*, „Wynocha! Do baraku!”

– Dwadzieścia pięć batów, wiem. Ta sama kara co za napisanie wiersza na banknocie. Nie sądzisz, że to smutne?

Ich reakcja pokazuje, że boją się tego, co mogliśmy napisać na skrawku papieru. Pociuszające jest, że w ogóle się nas boją. Powinnyśmy bardziej to wykorzystywać. Jak oni nas: utylizują nasze włosy, naszą krew, naszą skórę, nasz tłuszcz...

Polka wiedziała, o czym mówi: naziści wykorzystywali włosy więźniów do wypełniania poduszek i owijania przewodów elektrycznych (ponadto męskie służyły do produkcji filcu, a kobiece – skarpet z „ludzkiej wełny”), przetaczali ich krew niemieckim żołnierzom rannym na froncie, z tłuszczu wytwarzali mydło, a z wytatuowanej skóry robili abazury.

Alicja kolejny raz się zaciągnęła. Zachichotała.

– Przynajmniej ze mnie nie wyciągną wiele tłuszczu do produkcji tych okropnych mydeł, które dostajemy, kiedy pozwalają nam wziąć prysznic... – powiedziała na pocieszenie; była chodzącym kościotrupem. – Łajdacy. Nawet kiedy zostaje z nas już tylko popiół, wysypują nim obozowe alejki i nawożą swoje prywatne ogródki. Coś za bardzo są od nas zależni jak na rasę panów, nie sądzisz? I wszystko muszą załatwiać krzykiem i wyzwiskami, jakbyśmy mieli ich nie posłuchać, gdyby zażądali od nas tego samego trochę ciszej.

W Birkenau nieustannie rozlegały się krzyki: *Achtung, zum Appell! Fünf zu fünf!*, „Uwaga, apel! Pięć na pięć!”; *Verfluchte Juden!*, „Przekłęci Żydzi!”; *Polnische Banditen, Polnische Schweine!*, „Polscy bandyci, polskie świnię!”; *Blöde Kuhe, Scheiss Köpfe!*, „Głupie krowy, gnoje!”

– Nauczyłam się tego przeklętego języka dzięki wrzaskom tych świń: *Arbeiten, arbeiten!*, „Pracujcie, pracujcie!”

Może same by trochę popracowały i przestały traktować nas jak niewolników? – zapytała retorycznie Alicja, dopalając papierosa. Jej mina wskazywała, że Polka wcale nie lubi zaciągać się dymem, a tym bardziej go połykać, ale jako że więźniom zabraniano palenia, był to z jej strony wyraz buntu. – Mandel miała rację: powinnam była dawno umrzeć. Już w Ravensbrück byłam „klejnocikiem”, *Schmuckstück*. Tak mówiło się tam na umierające więźniarki, nie nazywano ich mużułmankami, jak w Auschwitz. Każdy obóz ma swoje własne określenia na opisanie tego samego gówna.

Ella słuchała jej z szeroko otwartymi oczami, chociaż jej usta pozostały zamknięte. Właśnie dowiedziała się, skąd pochodzi tłuste mydło, które wręczano więźniarkom pod przysnecem, i dlaczego jego zapach przyprawia o mdłości. Ze wszystkich informacji, które usłyszała od Polki, ta zrobiła na niej największe wrażenie. Alicja może i była chodzącym szkieletem – wkrótce umrze i przestanie wdychać unoszący się w obozie odór gnijącego życia, oklejający gardło duszone chronicznym kaszlem i zmuszający więźniów do bezustannego odchrząkiwania – ale nigdy nie kłamała. Spędziła wystarczająco dużo czasu w obozach, żeby wiedzieć, co się w nich dzieje, i dlatego nie przesadzała. Nie musiała. Rzeczywistość przekroczyła możliwe do ogarnięcia rozumem granice i zamieniła się w czysty nonsens: wtedy właśnie powstały Auschwitz, Mauthausen, Ravensbrück, Buchenwald, Bergen-Belsen, Treblinka, Sobibór, Bełżec... Zanim Ella trafiła do Birkenau, te nazwy nic jej nie mówiły, szybko je jednak zapamiętała.

Alicja przerwała na widok przerażenia malującego się na twarzy milczącej towarzyszki. Nie miała prawa zniecałkować zarzucać jej informacjami, które ona sama przyswajała przez kilka lat. Chociaż tak naprawdę wyświadczała Elli przysługę: im szybciej dziewczyna otworzy oczy i przestanie być naiwna, tym lepiej sobie poradzi. Po tej stronie drutów naiwność zabijała. Ale nawet w tym piekle każdy potrzebował czasu na zrozumienie, co się dzieje, o ile w ogóle dało się to zrozumieć. Przez chwilę była na siebie zła za ten niekontrolowany słowotok. Gadulstwo zawsze przysparzało jej problemów. Czuła, że będzie trzepać językiem, dopóki jej nie zabiją, bo naturalna śmierć była w Auschwitz czymś nieosiągalnym. W dodatku Ella należała do ulubienic Marii Mandel, była jej nowym kaprysem, maskotką, jak wcześniej Alicja w obozie Ravensbrück.

Młodej Francuzki nie uznano za więźniarkę polityczną, nie należała też do żadnej z wpływowych rodzin z okupowanych krajów – nie była tak zwanym więźniem specjalnym, *Ehrenhäftling* czy *Sonderhäftling* – ale dzięki Marii Mandel dołączyła do uprzywilejowanej grupy oddelegowanej do lżejszych zajęć. Dlatego pracowała w Kanadzie, w magazynach, do których trafiały odzież i przedmioty odebrane deportowanym. Dlatego dostała się do zespołu kopistek żeńskiej orkiestry utworzonej przez Mandel. Dlatego jej stopy nie były bosa i oblepione błotem, które sprawiało, że więźniarki potykały się i upadały, za co Bestia i jej pomocnice wyzywały je od niezguł i leni i katowały. Dlatego nie miała ogolonej głowy, owrzodzonych nóg ani brudnej, pociemniałej skóry. Dlatego nie zżerały jej wszy ani tyfus, przynajmniej na razie.

Był to ulubiony zwrot Mandel, służący podkreśleniu niestałości jej kaprysów. Wszystko mogło się zmienić z dnia na dzień. Ale – przynajmniej na razie – Ella należała do grupy wybranych.

Na rampie, gdzie zatrzymał się pociąg, którym przyjechała z obozu w Drancy, doktor Josef Mengele i Oberaufseherin Maria Mandel dokonywali wstępnej selekcji. Ella została skierowana do kolumny po prawej stronie, a nie do tej po lewej, oznaczającej natychmiastową śmierć – komorę gazową i krematorium. Nie ogolili jej głowy ani nie wytatuowali przedramienia jak niemal wszystkim pozostałym więźniom. Mieli inne plany wobec Francuzki, która zarzekała się, że nie jest Żydówką, że to pomyłka, że ona nie wie, co tu robi. Zdarzało się, że któryś z esesmanów upodobał sobie jakąś więźniarkę i stawiała się jego pupilką. To właśnie przytrafiło się Elli. Alicja spojrzała na dziewczynę i zobaczyła w jej oczach własne odbicie. Pomyślała, że Francuzka ma prawo sama odkryć, jaki czeka ją los.

– Nie przejmuj się mną – stwierdziła, ścisząc i tak już ledwo słyszalny głos. Wszystkie więźniarki mówiły niemal szeptem, być może dla podkreślenia kontrastu z głośnym ujadaniem strażniczek. – Wybacz mi. Nie powinnam była ci tego wszystkiego mówić. Przy odrobinie szczęścia nakryją mnie na paleniu albo przyczepią się, że chowam dłonie w rękawach, że za wolno chodzę czy że przepasałam czymś ubranie, żeby mi nie spadło, i od razu mnie zabiją, dzięki temu nie będziesz musiała mnie już słuchać. – Uśmiechnęła się. – Nie rób takiej miny! I tak mnie zabiją, więc im szybciej, tym lepiej. Fela miała rację, faktycznie była szczęściarą.

Nie żyje. Już nie cierpi. Nie wyobrażam sobie większego szczęścia w tym piekle.

Alicja nie bała się śmierci. Dawno przewyciężyła ten strach. Tak naprawdę minęło zaledwie kilka miesięcy, ale czas – podobnie jak świat, który znała, zanim ją zatrzymano i uwięziono – uległ dramatycznym przeobrażeniom, jego trwanie, zmienne i miary przybrały zupełnie inne wartości. Nie było już miejsca na strach przed nieistnieniem. Nie bała się kary, opowiadała te historie każdemu, kto zechciał jej słuchać. Była weteranką w nowym świecie zbudowanym przez nazistów, a tym samym zajmowała wysoki szczebel w hierarchii internowanych. Maria Mandel nie lubiła szeptania po kątach, kiedy przyłapywała więźniarki na rozmowie, bezlitośnie tłukła je batem czy szpicrutą albo kopała gdzie popadnie, najchętniej w brzuch i w twarz. Mimo to Polka czuła potrzebę dzielenia się tym, co przeżyła, jakby bała się, że kiedy umrze, ten przekaz zniknie razem z nią. Tego naprawdę się bała: ignorancji i zapomnienia.

Najstraszliwsza była opowieść o eksperymentach medycznych, które lekarze SS przeprowadzali na kobietach w Ravensbrück. Nazywali je *Kaninchen* – królikami doświadczalnymi. Alicja widziała, jak łamali im kości i amputowali kończyny, które potem przyszywali innym więźniarkom. Jak wycinali im organy, jak sterylizowali je z użyciem substancji chemicznych, jak zmuszali je do aborcji albo do zachodzenia w ciążę, żeby eksperymentować na nich i na płodach, jak przetaczali im różne grupy krwi, żeby sprawdzić, jak zareaguje ich organizm...

– Widziałam tyle okrucieństw... aż dziw, że nie oślepiłam. Wszystkich dokonywano za wiedzą i przyzwoleniem tej bestii, Marii Mandel. Była przy tym, jak doktor wstrzyknął mi do macicy jakiś niebieski płyn. Miałam wrażenie, że pali mnie od środka, i rzeczywiście mnie wypalił. Żadnego znieczulenia, żadnej opieki lekarskiej, żadnych środków higieny. Najpierw przestałam miesiączkować – mówili, że dzięki temu będę wydajniejsza w fabryce. Potem mnie wysterylizowali. Na oczach jakiegoś okropnego mężczyzny, który pstrykał zdjęcia. Nigdy nie zrozumiałam, po co to zrobili. Ja miałam szczęście, byłam ulubienicą Mandel, ale nawet to mnie nie ocaliło. Ten przeklęty doktor z grubymi łapskami... Podobno był osobistym lekarzem Heinricha Himmlera, ale założę się, że na nim nie przeprowadzał żadnych eksperymentów. Przy nas nawet nie zadawał sobie trudu, żeby założyć rękawiczki – wyznała Alicja. Wspomnienia przesuwają jej się przed oczami jak film. – Któregoś dnia grupa więźniarek postanowiła wystosować pismo do komendanta obozu Ravensbrück, żeby poskarżyć się na okrucieństwa, jakich się wobec nas dopuszczano, i poprosić o zaniechanie eksperymentów chirurgicznych. – Uderzyła pięścią w stół. Niebieski ołówek potoczył się po blacie, jakby przed nią uciekał. – Byłyśmy więźniarkami politycznymi! Ja nawet nie jestem Żydówką! Wywieźli nas tam po to, żebyśmy pracowały w fabrykach, produkowały części uzbrojenia i wykonywały inne zadania, a nie po to, żeby nas okaleczać, torturować i zabijać. Jakież byłyśmy naiwne! – wykrzyknęła ze smutną ironią. – Zdobyłyśmy się na odwagę i zaniósłamy pismo do biura

komendanta. Mandel o niczym nie wiedziała. Władze obozu uznały, że to bzdury, wymysły rozhisteryzowanych kobiet. Zrzuciły nam kłamstwo i uprzedziły, że słono za nie zapłacimy. Bestia oczywiście natychmiast dowiedziała się o naszym zuchwalstwie. Poddała moje koleżanki torturom, zginęły rozstrzelane w słynnej uliczce śmierci. Ja zapłaciłam inaczej. Teraz już mnie to nie dziwi, ale wcześniej nie przeszło mi przez myśl, że mogłabym zostać zgwałcona przez kobietę i oznaczona jej inicjałami.

Alicja podciągnęła bluzę pasiaka, odsłaniając bliznę w kształcie dwóch „M” wypalonych rozżarzonym żelazem. Inicjały Marii Mandel na zawsze pozostały wyryte na jej skórze.

– Mimo wszystkiego, co zrobili z moim ciałem, najgorszy był moment, w którym spalili nasze pismo. Nic ich nie obeszło, śmiali się z nas tak samo jak wtedy, kiedy palą nasze rodzinne fotografie, które próbujemy ukryć, a które oni zawsze znajdują. – Alicja ponownie przerwała i spojrzała Elli w oczy. – Dlatego myślę, że dobrze robisz, zatrzymując zdjęcia, które znajdujesz w rzeczach deportowanych.

– Skąd o tym wiesz? – zdziwiła się dziewczyna.

Polka nie odpowiedziała, po prostu mówiła dalej.

– Nie wiem, dlaczego to robisz, ale jeżeli ocalisz te zdjęcia przed spaleniem, ktoś kiedyś się dowie, że te osoby tu były. Ludzie pewnie spłoną, ale fotografie przetrwają. A oni zostaną zapamiętani tacy, jacy byli.

Elli odebrało mowę. Była ostrożna, starała się unikać niedyskretnych spojrzeń. Jeżeli Alicja zdołała odkryć jej

wielki sekret, równie dobrze mogła odkryć go któraś ze strażniczek. Ogarnęła ją panika, ten sam paraliżujący strach, który czuła na karku, kiedy za jej plecami rozlegał się odgłos ciężkich kroków Marii Mandel. Wiedziała, że osoba przyłapaną na pisaniu zostaje surowo ukarana.

– Podobno śmierć przez zagazowanie nie boli – ciągnęła Alicja, nie przejmując się wrażeniem, jakie zrobiły na Elli jej słowa. – Napisz to na którejś z tych swoich pocztówek. Ale nie na tej, którą dała ci Bestia. Mam na myśli te inne, te, które trzymasz w puszcze.

Podskoczyła ze strachu. Polka nie tylko przyłapała ją na zabieraniu zdjęć i pocztówek, ale też wiedziała, gdzie je chowa. Ella nie była w stanie opanować paniki. Alicja postanowiła ją uspokoić.

– Nie bój się, nic nie powiem. Tutaj wszyscy piszą, kiedy myślą, że nikt nie patrzy. Wszyscy poza mną. Nie wiedziałabym, co napisać. Mogłabyś wspomnieć o mnie na tych swoich kartkach, na wypadek gdyby nie przetrwał nikt, kto by mnie pamiętał. Może kiedy to się wreszcie skończy, ktoś je przeczyta.

– Alicjo, musisz mi obiecać, że nikomu o tym nie powiesz – poprosiła Ella błagalnym tonem, świadoma, że to absurdalne żądanie. Informacje obiegały obóz lotem błyskawicy, były przekazywane z ust do ust, wymieniane na czarnym rynku zorganizowanym przez więźniów za przyzwoleniem esesmanów. Mimo to nalegała dalej: – Nikomu nie mów. Niczego nie kradnę, nie zamierzam przywłaszczać sobie czegoś, co do mnie nie należy. Po prostu nie chcę, żeby wszystko zniszczyli.

– Widać, że jesteś w tym piekle dopiero od trzech miesięcy. Tutaj się nie kradnie, tutaj się „organizuje”. Pracujesz w Kanadzie, to najlepsze baraki w tym przeklętym obozie. Do was trafia zawartość walizek odebranych deportowanym, sortujecie ją i wysyłacie ciężarówkami do Trzeciej Rzeszy, żeby jeszcze bardziej ją wzbogacić. Oczywiście, że nie kradniecie! Po prostu organizujecie... To prawda, że znajdujecie brylanty, rubiny, klejnoty, złoto i portfele pełne banknotów? Chociaż ja osobiście wolałabym konserwy rybne, mięso, herbatniki, czekoladę i skondensowane mleko w puszkach... To właśnie w takiej puszcze trzymasz swój arsenał pocztówek, prawda? – zapytała, chociaż doskonale znała odpowiedź.

Im więcej zdradzała szczegółów, tym bardziej bladła twarz Elli. W Birkenau taki chorobliwy wygląd świadczący o skrajnym wycieńczeniu mógł zaprowadzić do komory gazowej.

– Proszę, musisz mnie wysłuchać i zrozumieć. Nie robię tego dla siebie, nic z tego nie mam. Nie możesz nic powiedzieć – powtórzyła.

– Nie powiem. Masz moje słowo. – Alicja zdobyła się na słaby uśmiech. – Wiem, że tutaj nie jest ono nic warte, ale to jedyne, co mam: moje słowo. Możesz mi zaufać. Tak naprawdę to ci zazdroszczę, jesteś bardzo odważna. Zresztą i tak nie zdążyłabym za dużo powiedzieć. Niedługo zobaczysz, jak wychodzę przez jedną z tych wielkich ceglanych wież, które plują ogniem i zasypują obóz popiołem. Nie powiedzieli ci po przyjeździe, że to jedyna droga, jaką można stąd uciec? Kiedy pierwszy raz usłyszałam z ust esesmana

słowa *durch Kamin*, nie znałam jeszcze dobrze niemieckiego, nie wiedziałam, że ma na myśli krematorium.

Ella nie rozumiała, jak Alicja jest w stanie wykrzesać z siebie ten wisielczy humor. Później odkryła, że w kryzysowych momentach większość więźniarek ucieka się do sarkazmu, na który gdzie indziej nigdy by sobie nie pozwoliły.

– Zresztą nieważne. Przyszłam ci przekazać, że Bestia chce cię widzieć w swoim gabinecie. Lepiej się pospiesz. Sama wiesz: *schnell, schnell!* – zawołała, naśladowując gardłowy głos, którym Maria Mandel poganiała więźniarki, żeby przyspieszyły kroku albo ustawiły się w pięcioszeregach.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? – skarciła ją Ella. Wiedziała, że kierowniczka obozu nie lubi, kiedy każą jej czekać.

To nie była dobra wiadomość. Elli przyszło do głowy, że Alicja podzieliła się z Mandel swoim odkryciem. Zasłużyłaby na nagrodę przedłużającą jej życie: dodatkową miskę zupy, porcję masła, łyżkę marmolady, buty we właściwym rozmiarze. Ella nie miałaby do niej o to pretensji. Pierwszą rzeczą, której nauczyła się w obozie, było to, że śmierć jednej więźniarki ułatwia życie innej – żyjesz dlatego, że ktoś inny zginął. Nie one wymyśliły te niesprawiedliwe, nieludzkie zasady, które wydawały się jednak dziwnie normalne. Unormalnienie zła. Tym właśnie było Auschwitz.